

O. Dr. Rafał Nienaltowski, OFM Cap.

Nieznana Bohaterka Dachau

Autoryzowane tłumaczenie z niemieckiego

Zakłady Graficzne: Echo Press.

192 Driggs Avenue, Brooklyn 22, N. Y.

Tytuł oryginału niemieckiego: *Schenkende Haende*

Autor: Ks. Otto Pies, S. J.

Ilustracje projektował i wykonał ks. Józef Wdowiak

Za Zezwoleniem Władz Zakonnych



Copyright 1962 by

Spes Foundation, Oak Ridge, N. J.

SŁOWO WSTĘPNE

2 października 1940 r. Hitler wypowiedział do swego najbliższego otoczenia następujące zdanie: "Generalna Gubernia ma stać się dla Niemców jedynie rezerwuarem niewykwalifikowanej siły roboczej . . . jedynymi panami dla Polaków będą Niemcy. Dwóch panów jednocześnie nie może być i nie będzie. Dlatego polska inteligencja musi być wytępiona w całości . . ."¹

Generał niemiecki, Karl Wolff oświadczył po wojnie, iż gdy pewnego razu w rozmowie z Hitlerem, w której ten ostatni wspominał o zamiarze masowego mordowania polskich mężczyzn, kobiet i dzieci dał wyraz swej zgrozie, Hitler odpowiedział: "przecież to jedyny sposób zdobycia Lebensraumu, którego potrzebujemy."²

Nie ma już dzisiaj wątpliwości co do przyszłych zamiarów przywódców Trzeciej Rzeszy wobec narodu polskiego w wypadku zwycięskiego zakończenia wojny. Rozwiązanie problemów narodowościowych było proste: po wytępieniu Żydów przyszła by kolej na Polskę i inne narodowości słowiańskie.³ Piecze krematoriów dymiłyby w dalszym ciągu i przez długie lata . . .⁴

Do najstraszliwszych wynalazków, środków i narzędzi okrucieństwa, którymi hitlerowski szal bił, deptał, mordował i znęcał nad innym człowiekiem, należą obozy koncentracyjne Trzeciej Rzeszy, owe prawdziwe "piekła na ziemi." Wiele już napisano dzieł, rozpraw, pamiętników i artykułów na temat potwornych zbrodni i morderstw, popełnionych w oślawionych "kacetach."

Potworność obozów nie polegała jedynie na biologicznym niszczeniu przeciwników ideowych. Nie mniejszą zapewne szkodę przyniosły ludzkości obozy przez moralną deprawację duszy i psychiki ludzkiej.

Poniżając człowieka do poziomu szczonego zwierzęcia, którego największą i jedyną troską było uniknięcie śmiertelnego

ciosu i znalezienie ochłapa żywności, hitleryzm jednocześnie wyzwał w człowieku straszliwe instynkty zemsty i nienawiści. Jakże prawdziwymi okazały się słowa Konrada z "Dziadów" Mickiewicza, iż dominującym uczuciem sponiewieranego i udręczonego człowieka jest: "zemsta, zemsta na wroga; z Bogiem lub nawet mimo Boga."⁵

Instynkt nienawiści, zapadając się w głąb ludzkich serc, znieważonych, dotkniętych, zranionych w najdelikatniejszych, najświętszych swych prawach, wypaczył wykrzywił w wielkim stopniu świat duchowy tych wszystkich, którym dano było przetrwać wojnę, obozy śmierci i doświadczenia zetknięcia się z ponurą rzeczywistością Hitlerowskiego państwa.

Na czoło problemów powojennych wysunęła się kwestia odpowiedzialności społeczeństwa i narodu niemieckiego za zbrodnie, dokonane na ludzkości. O odpowiedzialności tej i współwinie pisano już wiele; pisze się wiele i zapewne będzie jeszcze pisać wiele. Problemu tego, niestety, nie rozwiąże żaden umysł ani geniusz ludzki. Tak jak nie ma na świecie i nie można stworzyć w miejsce ludzi, zmechanizowanych, żywych robotów, działających i postępujących we wszystkich okolicznościach identycznie, względnie reagujących w jeden i ten sam sposób na zewnętrzne bodźce, podniety i wpływy — tak samo nie uda się nigdy stwierdzenie z matematyczną dokładnością stopnia, zasięgu i skutków współpracy i winy tak czołowych zbrodniarzy Trzeciej Rzeszy jak i ich bliższych i dalszych pomocników.

Człowiek, istota zawsze nieznana i niezgłębiona — odpowie w całości za swe czyny jedynie przed Tym który "scrutatur corda hominum (który przenika serca ludzkie)"⁶ — Bogiem.

Nikt z ludzi poważnie myślących lub znających chociaż powierzchownie społeczeństwo niemieckie i jego historię, nie może zaprzeczyć mu wielkich zalet charakteru; nie może zaprzeczyć istnienia myślicieli, wynalazców oraz geniuszów literatury, poezji i muzyki, jakich wydały Niemcy. I nikt nie może zaprzeczyć, że wśród Niemców byli i są ludzie dobrzy, szlachetni i święci.

Problemem jednak niezwykle trudnym jest ustalenie stosunku, proporcji dobra i zła; tego co czyste i piękne i tego co ciemne, ponure i podłe.

Spółeczeństwo polskie, zwłaszcza po ostatniej wojnie, jest w tej sprawie ustosunkowane nadzwyczaj pesymistycznie. Nie bez poważnych racji: Trudno się spodziewać, by zatruty siew obozów koncentracyjnych, siew terroru nieludzkiej okupacji, przyniósł inne niż zatrute owoce, inny niż zatruty plon . . .

Przewrotności, okrucieństw i zbrodni krzyżackich; okrucieństw popełnionych na Jurandzie, Danusi, i na masach narodu polskiego nie zmaże, nie zmyje, nie wyrówna krew żołnierzy niemieckich, oddających pod wodzą Hansa Flicka i Johanna Wernera w Siczy Zaporoskiej życie za honor żołnierski i wierność Polsce.⁷ Zbrodni hitlerowskich, tragedii, krzywdy i bólu, wyrządzonych narodowi polskiemu, nie wyrówna szczupła, młoda dziewczyna niemiecka, narazająca wielokrotnie swą wolność i życie dla . . . polskich więźniów w Dachau." A jednak może warto jest żyć" — powiedział kiedyś pesymista, spotkawszy dobrą, szlachetną, zdolną do poświęcenia kobietę — "bo patrzcie, jest przecież jeszcze na świecie ktoś dobry, inni niż wszyscy inni" . . .

Może warto Polakom, rozproszonym po całym świecie, nawet tym (a może przede wszystkim tym?) najbardziej płonąącym nienawiścią do Niemiec, przypomnieć, że polscy więźniowie w Dachau zdejmowali z szacunkiem i wdzięcznością obozowe czapki przed 20-letnią prosta dziewczyną bawarską? dziewczyną, której zresztą później złożył hołd i sam nieugięty w walce z hitleryzmem książe kościoła, arcybiskup Muenchen, kardynał Faulhaber.

Nad dymami płonącego stale krematorium w Dachau; nad jękiem konających w opuszczeniu i pogardzie więźniów; nad nędzą, niedolą, straszliwym głodem, przekleństwami i złorzeczeniami, nad zwierzęcymi instynktami strażników esesmańskich i obozowych kapów, wyzwalającymi się w poniewieraniu innego człowieka — unosiła się jasna tęcza, jasny promień słoneczny, oświetlający dobroczynnym swym blaskiem ciemne chmury życia obozowego; unosiło się tchnienie dobra, piękna i ciepła ludzkiego serca. Objawiło się zaś w prostej niemieckiej dziewczynie. Historia tej dziewczyny, tak ściśle związanej z Dachau i jego więźniami, jest tematem niniejszej książeczki.

Ze zrozumiałych dla wszystkich Polaków względów, zastanawiałem się poważnie nad celowością wydania oraz reakcją

czytelników na opowiadanie o Maedi — Siostrze Marii Mack. Wahanie jednak nie trwało długo. Zdaje się, że białe — czerwone kwiaty, które złożyli Maedi polscy więźniowie w marcu 1945, są dostatecznym i przekonującym dowodem, że istnieje obowiązek uznania wartości nawet i u nieprzyjaciela; a poza tym obowiązek wdzięczności za bohaterskie, bezinteresowne poświęcenie, współczucie, ducha ofiary, męstwo i odwagę u tej, która jeszcze do dnia dzisiejszego uważa swą służbę dla więźniów w Dachau za najcenniejszy dar Opatrzności w swym życiu.⁸

Przed kilku laty prasa całego świata pisała z entuzjazmem, uznaniem i najwyższymi pochwałami o dzielnej pielęgniarce francuskiej, która w dalekich Indochinach, w oblężonym, otoczonym przez wrogów obozie, bez względu na własne bezpieczeństwo, pod kulami armat nieprzyjacielskich, spełniała spokojnie obowiązki samarytańskie opieki nad chorymi i rannymi żołnierzami. Nazwano ją "Aniołem Dien - Bien - Fu." Największe miasto na świecie, New York, urządziło jej wspaniałe, tryumfalne przyjęcie, zarezerwowane dla największych osobistości i bohaterów świata. O bohaterskiej siostrze Marii Mack, której każda wyprawa do obozu koncentracyjnego mogła znaleźć swój epilog w krematorium w Dachau, nie pisze się prawie nic, milczy nawet prasa niemiecka. Nikt nie nazywa ją "aniołem Dachau." W skromnym klasztorze w Muenchen pracuje dziś spokojnie i bez rozgłosu, zajęta wychowaniem młodego pokolenia. Bądźmy pewni: siostra Maria Mack nie uczy, nie wpaja w młode pokolenie idei nazistowskich. Zbyt wiele o nich wie, bo wszak zetknęła się z nimi w dziwny, straszliwy sposób już w zaraniu swego życia.

O. Rafał Nienaltowski, OFMCap.

Były więzien Dachau. Nr. 22635

PRZYPISY DO SŁOWA WSTĘPNEGO

1. "The Government — General should be used by us merely as a source of unskilled labour . . . There should be one master only for the Poles — the Germans. Two masters, side by side, cannot and must not exist. Therefore all representatives of the Polish intelligentsia are to be exterminated . . ." Bullock A., Hitler. A Study in Tyranny, Bantam ed. New York, 1961. str 623.
2. "General Karl Wolff remarked his horror when in conversation with Hitler the dictator mentioned his intention to consign to death men, women and children of Polish derivation. To Wolff's inquiry as to the need for the slaughter, Hitler replied: 'Only thus shall we gain the living space which we need.' " . . . Musmanno M., Ten Days to Die, ed. MacFadden, New York, 1962 str 78.
3. Zob. Bullock A., Hitler, str 624.
4. Por Giertych J., Sprawa Ziemi Odzyskanych w Świecie Etyki, Stuttgart 1948, str. 14.
5. Mickiewicz A., Dzieła, Wyd. "Czytelnik" Warszawa 1955. Tom III, str 155. (Pieśń Konrada).
6. List do Rzymian 8. 27.
7. Sienkiewicz H., Ogniem i Mieczem, Tom I, rozdział 14
8. List Siostry Marii Mack z dnia 21 lutego 1962.

NIEZNANA BOHATERKA DACHAU

"Maedi",¹ jak ją nazywali księża — więźniowie Dachau, była kandydatką Sióstr zakonnych, znanych w wielu krajach pod nazwą Notre Dame, w Niemczech zaś jako Arme Schulschwester.

Regularnie co 8 - 14 dni zjawiała się w pobliżu obozu koncentracyjnego Dachau, przywożąc kapłanom — więźniom hostie, wino mszalne, świece, lekarstwa i wiele innych dla więźniów bezcennych artykułów. Po kapitulacji Niemiec, w roku 1945, arcybiskup Muenchen, kardynał Faulhaber, w jednym ze swoich przemówień wspominał o bohaterstwie młodej, niemieckiej dziewczyny, która bez względu na niebezpieczeństwa grożące jej życiu, wносиła przez wiele miesięcy pomoc i pociechę w ponure ciemności i starszliwą nędzę życia więźniów w obozie w Dachau. Dziewczyną tą była Maedi.²

Jaka jest historia Maedi i jaki jej związek z obozem w Dachau? Właściwe imię i nazwisko Maedi brzmi: Józefa Mack. Pragnąc poświęcić się służbie Bożej, wstąpiła do zgromadzenia Arme Schulschwester. Wiele słyszała młoda dziewczyna o okrucieństwach i okropnościach straszliwej wojny i obozów koncentracyjnych. Opatrzność sprawiła, iż z tymi ostatnimi miała zetknąć się osobiście. Pewnego dnia Przełożona Sióstr klasztoru Sw. Klary we Freising poprosiła Maedi do siebie. Młoda dziewczyna, nie przeczuwając co ją czeka, spytała z zaciekawieniem o cel wezwania. To co usłyszała nappełniło ją zdumieniem i przerażeniem. Nie była pewna, czy zrozumiała dobrze słowa swej zwierzchniczki. W najśmielszych, najbardziej fantastycznych snach nie przyszło jej nigdy na myśl, że mogłaby kiedyś jechać do... obozu koncentracyjnego w Dachau. A jednak o to się roz-

chodziło. Przełożona spytała Maedi, czy odważy się pojechać w pobliże obozu w Dachau w celu zakupu pewnej ilości flanc roślinnych i nasion kwiatów.

"Okolo obozu koncentracyjnego" — tłumaczyła Siostra Przełożona — "znajdują się wielkie ogrody, gdzie również i ludność cywilna może kupować kwiaty i nasiona. Ogromne plantacje kwiatów ziół należą do zarządu obozu koncentracyjnego. Na plantacjach pracują więźniowie."

Węglug późniejszych, własnych oświadczeń, Józefa Mack miała wrażenie, że misja jej równa się podróży do bram piekła. Zaufanie jednak do Przełożonej przemogło strach. Przygotowała się do drogi, zabierając z sobą jedną ze swych przyjaciółek i obydwie dzielne dziewczyny wyruszyły w niebezpieczną podróż.

W ten sposób po raz pierwszy znalazła się Maedi na słynnych plantacjach Dachauowskich.³ Pierwsze to zetknięcie z obozem koncentracyjnym stało się dla niej samej i dla wielu więźniów, przede wszystkim księży, godziną wybraną przez Opatrzność: godziną pociechy i pomocy, której znaczenie i zasięg trudno jest określić; dla wielu godziną ratunku z nędzy a nawet od śmierci. Maedi nie miała naturalnie wtedy o tym najmniejszego pojęcia. Spokojnie, z ufnością w pomoc Boga, poszła drogą posłuszeństwa, stając się narzędziem miłosiernej, ratującej ręki Boga.

Po pierwszej podróży do Dachau nastąpiły dalsze. Maedi nawiązała kontrakt z więźniami, pracującymi na plantacjach. Poczęła przyjeżdżać do Dachau regularnie, stając się ogniwem łączności między więźniami a światem, od którego byli całkowicie odcięci. Brała i przywoziła do obozu tajne, prywatne listy; przyjmowała prośby o lekarstwa i środki wzmacniające dla chorych więźniów; regularnie przywoziła hostie i wino mszalne

dla 700-800 księży polskich, którym wzbronione były wszelkie czynności religijne. Bez pomocy Maedi mieliby oni rzadko tylko sposobność odprawienia Mszy Św. względnie przyjęcia Komunii Świętej. W torebce damskiej przewoziła Maedi przez wszystkie punkty kontrolne, mijając do drodzy i ocierając się prawie o wielu wartowników esemańskich, do progu piekła Dachauowskiego, hostie, wino mszalne i inne przybory liturgiczne, żeby ci, w specjalny sposób gnębieni i prześladowani księża polscy, mogli mieć pociechę Mszy Świętej. Odprawiali oni Najświętszą Ofiarę potajemnie na strychu Trockenhaus (budynek na plantacjach) w cieplarniach oraz w wąskich korytarzach sypialni baraków obozowych.

Śmiałe podróże Maedi wzmacniały w niej samej i w więźniach nadzieję i odwagę, podnosiły ducha. Maedi stała się pośredniczką we wszystkich najważniejszych sprawach i potrzebach. Przywoziła artykuły żywnościowe, przywoziła ciepłą odzież i bieliznę. Dzięki jej wydatnej pomocy mogły odbyć się w obozie w Dachau potajemne święcenia kapłańskie diakona niemieckiego, Karla Leisner. Maedi pośredniczyła bowiem w wymianie listów między obozem a hierarchią kościelną w tej sprawie; ona to przywoziła z Muenchen potajemnie szaty biskupie, księgi liturgiczne i oleje święte, potrzebne przy ceremoniach święceń kapłańskich.

.....

Działalność Maedi z natury rzeczy była i musiała być okryta tajemnicą. Jedynie nie wielu wtajemniczonych więźniów wiedziało, dlaczego młoda dziewczyna tak często i regularnie czyniła zakupy na plantacjach i co kryło się w głębi jej czarnej, damskiej torebki. . .

.....

W obozie koncentracyjnym Dachau było wśród więźniów wielu Tarsycjuszów dwudziestego wieku, którzy innym towarzyszącym niedoli, zwłaszcza chorym, do których kapłanom —

więźniom wstęp był wzbroniony, nosili potajemnie ciało Zbawiciela w Komunii Świętej. Ale Tarsycjuszami byli nie tylko oni; Tarsycjuszem była i Maedi, która nosiła więźniom trudną do wyrażenia słowem pomoc i pociechę; dziewczyna, która bez względu na grożące jej niebezpieczeństwa, była zawsze gotowa, o ile by tego zasłała potrzeba, oddać życie, by służyć Chrystusowi w Jego kapłanach. . .



Maedi w 1944

.....

O tym, jak Maedi wybiła dla więźniów "małe drzwi na świat" i w jaki sposób, z woli Opatrzności Boskiej, nawiązała z nimi kontakt, napisała później sama po wojnie w długim, obszernym liście. Piękne to, pełne prostoty, szczerości i pokory opowiadanie podajemy poniżej dosłownie:

"Był piękny, cichy wieczór majowy, gdy zostałam wezwana do Czcigodnej Siostry Przełożonej. Oświadczyła mi ona, iż w dniu jutrzejszym mam jechać razem z nią dobrą znajomą,



Chrystus i Niewiasty

Fraulein Kathi i drugą jeszcze panienką do Dachau, by odebrać stamtąd jarzyny i flance, które zamówił dla nas, pracujący na plantacjach obozowych Herr Duer.

Siostra Przełożona dodała z uśmiechem, iż nie mamy racji obawiać się Dachau, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa z samego obozu nie będziemy miały możliwości wiele zobaczyć.

We wtorek, 16 maja, pojechaliśmy pociągiem przez Muenchen do Dachau. Na krótko przed 10. 30 stanęliśmy na dworcu kolejowym Dachau. Po wyjściu na stację udaliśmy się od razu do obozu, który znajdował się w odległości około pół godziny drogi od miasta.

Przy SS Kaserne (budynek należący do esesmanów) oczekiwał nas Herr Duer z wielkim wózkiem, na którym miałyśmy wieźć flance spowrotem na stację. Herr Duer towarzyszył nam aż do ogrodów esesmańskich, t. zw. "plantacji." Gdyśmy przybyli na plantację była jedenasta godzina. Więźniowie ustawiali się właśnie do wymarszu na t. zw. "Kommandoweg." To co ujrzałam, wstrząsnęło mną do głębi. Nigdy do końca życia nie zapomne tego pierwszego zetknięcia się z więźniami Dachau.

Musieliśmy przejść koło więźniów, by dostać się do miejsca, gdzie sprzedawano kwiaty. Było to nie wielkie biuro; urzędował w nim młody polski ksiądz — więzień, F. S.

Ksiądz S. czekał na nas przed biurem, gdyż Herr Duer powiadomił go już uprzednio o naszym przybyciu. Niezbyt przyjaznym tonem oświadczył, że musimy uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż flance będą przygotowane. On sam ma wiele pracy a poza tym nie jesteśmy przecież jedynymi klientami. Odpowiedziałam, że zaczekamy bardzo chętnie, gdyż w każdym bądź razie nie możemy wyjechać do domu przed godziną 2-gą. Na te słowa ksiądz S. wprowadził nas do środka i poprosił, byśmy usiedli i poczekali, aż flance zostaną spakowane i rachunek wystawiony.

Zebrałam się na odwagę i spytałam, czy nie zna przypadkiem księdza Ludwika Spiessl, brata jednej z sióstr naszego Zgromadzenia. Skinął głową i szepnął, bym mówiła ciszej, gdyż wartownik — eseman stojący przed drzwiami, zwraca na wszystko baczna uwagę, a więźniom wolno rozmawiać z osobami cywilnymi jedynie w sprawach, odnoszących się do interesu. Ksiądz L. Spiessl znał doskonale. Przekazałam więc pozdrowienia przesłane przez siostrę Adulę z Freising dla brata.

Nieufność księdza — więźnia wobec mnie powoli ustępowała. Poprosił mnie za swą świadomą, celową szorstkość. Dowiedziałam się później, że, przetrzymując mnie, chciał zyskać na czasie i mieć możliwość dłuższej obserwacji mojej osoby. Po stwierdzeniu jednak mojej szczerości, bezpośredniości i prostoty, nieufność jego znikła prędko. Począł mi opowiadać o warunkach życia w obozie, o głodzie, o karach obozowych, o nędzy i śmierci. Najwięcej mówił jednak o nienawiści esesmanów do księży i religii. Wydawało mi się rzeczą wprost niemożliwą, by w Niemczech mogły istnieć podobne stosunki... Nie mogłam spoczątku temu wierzyć, a jednak uwierzyć musiałam, gdyż tego samego dnia od innych więźniów usłyszałam to samo...

Na pożegnanie wziął mnie ks. S. na bok i prosił, bym jeszcze raz tu się zjawiała i, o ile możliwe, przywiozła z sobą trochę hostii i wina mszalnego, by on i kilku księży polskich mogło potajemnie odprawić Mszę Świętą. Musiałam mu przyrzec, iż wtajemniczę w tę sprawę jedynie swych przełożonych. Ks. S. jeszcze nie skończył mówić, gdy drzwi pokoju otworzyły się nagle i do wnętrza wszedł prędko jeden z esesmanów. Przestraszyłam się bardzo i czekałam z niepokojem co z tego może wyniknąć.

Ks. S. zwrócił się jednak do nas z całkowitym spokojem: "A zatem dowidzenia Państwu; w przyszły czwartek proszę zgłosić się po odbiór towaru."

Po przybyciu do domu nie mogłam po prostu doczekać się chwili, by wszystkie wypadki i przeżycia owego dnia opowiedzieć siostrze Przełożonej i siostrze Vigoris. Możliwość otwarcia serca wobec osób, które umiały zrozumieć i współczuć, przyniosła mi wielką ulgę. Obydwie siostry, po wysłuchaniu mego opowiadania, poczęły się długo i głęboko zastanawiać, w jaki sposób przyjść więźniom z pomocą.



Posiłek w Obozie

I tak rozpoczęło się piękne dzieło chrześcijańskiej Caritas, które spodobało się Opatrzności powołać do życia na tych dziwnych drogach.

W czwartek, w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, udaliśmy się w trójkę znowu do Dachau. Gdy zbliżyliśmy się do obozu czułam, jak ogarnia mnie ogromne przerażenie. Nie napotkaliśmy jednak na najjuźniejsze nawet trudności. Ksiądz S. jak i inni więźniowie z ciepłarni ucieszyli się na nasz widok. Wręczyliśmy im przywiezione artykuły i zdaje mi się, że nie jeden polski więzień mógł zaspokoić w tym dniu głód.

Gdy flance były gotowe i zabierałyśmy się do odjazdu, Ks. S. zatrzymał mnie znowu i prosił bym, o ile to nie będzie połączone ze zbyt wielkim niebezpieczeństwem, przyjechała raz jeszcze. Zgodziłam się pod warunkiem, iż moi przełożeni udzielą na to zezwolenia. Siostra Przełożona i siostra Vigoris, pragnące całą duszą przyjść więźniom z pomocą, zgodziły się na to jak najchętniej. Odtąd jeździłam już do Dachau każdego tygodnia.

Podróże swoje odbywałam spoczątku zwykle pociągami, a potem szłam pieszo od stacji w Dachau aż na plantacje. Na skutek jednak częstych nalołów powietrznych, nie mogłam już wkrótce dojeżdżać do Muenchen. Dlatego część drogi odbywałam rowerem. Radziłam sobie w następujący sposób: dojeżdżałam do stacji Schleissheim (miejscowość położona w odległości około 5 kilometrów od Muenchen) pociągami, a pozostałe 10 kilometrów jechałam rowerem. Z czasem rower mój stawał się coraz bardziej i bardziej obciążony. Co tylko siostry mogły oszczędzić z artykułów żywnościowych, było przekazywane biednym, zgłodniałym więźniom w Dachau, którzy przyjmowali wszystko z najwyższą wdzięcznością.

Przy końcu czerwca, gdy zjawiłam się na plantacjach, powitał mnie ksiądz S. radosnymi słowami: "Maedi, w przyszłą niedzielę będziemy u was we Freising." Zdziwiłam się ogromnie, nie wiedząc jak to należy tłumaczyć. W następną niedzielę

oczekiwaaliśmy w klasztorze Św. Klary z wielkim napięciem zapowiadanych odwiedzin. I rzeczywiście, ksiądz S. przybył do nas w towarzystwie byłego oficera austriackiego Gastera, więźnia Dachau od 6 lat oraz w towarzystwie esesmana komandofuehrera. Przyjechali zmęczeni i głodni o godzinie 9.30 rano. Ksiądz S. odprawił Mszę Świętą a Herr Gaster był ministrantem. Kommandofuehrer w międzyczasie otrzymał obfite śniadanie, na które z pewnością zasłużył. Jedynie jego uprzejmości i życzliwości można było zawdzięczać, iż zgodził się na niebezpieczną podróż razem z dwoma więźniami.

Dzięki opowiadaniu księdza S. siostra Przełożona i siostra Vigoris dowiedziały się dokładnie i zrozumiały całkowicie nędzę życia obozowego. Rezultatem wizyty był fakt, iż odydwie te zacne dusze z macierzyńską troskliwością poczęły rozmyślać nad sposobami dalszej pomocy dla więźniów.

O godzinie 3-ej po południu to naprawdę niezwykle trio musiało rozstać się z nami. Nie przyszło im to łatwo. W międzyczasie wszystkie rowery naszych gości zostały obciążone prowiantami, przyjętymi z całą wdzięcznością. Wyrażając radosną nadzieję, że wrócą tu jeszcze kiedyś, odjechali więźniowie z kommandofuehrerem do obozu. Przyjechali do nas po tym jeszcze trzy razy. Następnym i ostatnim razem przyjechał z nimi również inny polski kapłan, który później wielokrotnie opowiadał mi z wielkim wzruszeniem, jak głębokie wrażenie sprawiły na nim dobroć i troskliwość siostr, zwłaszcza starszych.

Podczas pierwszej wizyty we Freising opowiedział mi ksiądz S. o zacnej i szlachetnej rodzinie Beer, która mieszkała przy plantacjach. Najstarsza córka prowadziła gospodarstwo domowe i podczas mych dalszych podróży do Dachau zawarłam z nią znajomość. Paczki, które przywoziłam, były coraz cięższe i większe i okazało się wkrótce niemożliwością składanie wszystkich prowiantów u księdza S. bez wzbudzenia podejrzeń. Tutaj moja nowa znajomość przyszła mi z pomocą. Większe paczki mogłam spokojnie już składać u mych nowych przyjaciół. Więźniowie, pracujący w pobliżu, przez tylne drzwi odbierali paczki w koszach, przykrytych na wierzchu bielizną.

Pod koniec jednak istnienia obozu poczęto przeprowadzać u rodziny Beer częste rewizje, na skutek czego składanie

u nich paczek stało się zbyt niebezpieczne. W rezultacie zmuszona zostałam do przywożenia paczek z Freising do poczty miasta Dachau rowerem.

.....

Gdy w lecie 1944 plantacje rozwinęły się pełnią kwiecia, Herr Gaster (zarządca plantacji — więzień) każdego tygodnia, w dniu, w którym przyjeżdżałam do Dachau, przynosił pełen kosz najpiękniejszych kwiatów, najczęściej gladioli, do księdza S. Kwiaty były przeznaczone dla Freisingu. Nigdy nie byłam w stanie opłacić tych kwiatów. Zreszta nie trzeba było. Kwiaty były podarunkiem więźniów, którzy w ten sposób pragnęli okazać wdzięczność za otrzymaną pomoc. Przez całe lato i jesień nasza kaplica we Freising była przyozdobiona najpiękniejszymi kwiatami z plantacji esesmańskich. I tak mogły niewinne kwiaty — mimo iż wzrosły w piekle Dachauowskim — chwalić swego Stwórcę w cichej, klasztornej kaplicy.

.....

W tym samym mniej więcej czasie prosił mnie ksiądz S. bym, o ile możliwe, przywoziła każdego tygodnia 700 hostii dla 700 polskich księży. Siostra Przełożona wypełniła tę prośbę z największą radością.

.....

Było to pewnego pięknego poranku we wrześniu 1944. Jechałam jak zwykle rowerem do Dachau. Gdy zbliżyłam się do obozu, ogarnęła mnie nagle dziwna, niewytłumaczona trwoga, która mi nie pozwoliła jechać dalej. Znalazłam boczną drożkę i wjechałam na nią z myślą, iż może dojadę nią do plantacji i

uda mi się uniknąć kontroli i wart esesmańskich. Wjechałam w mały laszek i nagle ostry głos wartownika — esesmana zatrzymał mnie na miejscu. Usłyszałam szorstkie: "Ausweis, bitte!" (Proszę o dowód osobisty!) Przestraszyłam się ogromnie. Dowodu osobistego przy sobie nie miałam i wogóle nigdy go nie nosiłam.

Cóż było robić? Szybko, jak błyskawica, przyszła mi na myśl decyzja. "Nie pokaże panu papierów" — zawołałam — "wolę jechać inną drogą." Gwałtownym ruchem wyrwałam wartownikowi rower z ręki, wskoczyłam nań i zawróciłam na tę samą wąską ścieżynę, którą przyjechałam. "Czego się boisz? Chodź prosta drogą Boża, kto ci kazał szukać bocznych ścieżek?", przeszło mi przez myśl. Z dziwnym uczuciem pewności, że Bóg jest ze mną, wjechałam na zwykłą drogę, nie napotkawszy na żadne trudności. I nigdy odtąd nie natknęłam się na podobne niespodzianki. Z dziecinną ufnością garnęłam się do Boga, ilekroć ciężko mi było na sercu . . .

3 grudnia 1944 zjawiłam się znowu u księdza S. Wręczył mi dwa listy od więźnia jezuity, księdza P. Pierwszy list był zaadresowany do księdza kardynała Faulhabera i zawierał prośbę o udzielenie zezwolenia na tajne święcenia kapłańskie w czoście w Dachau więźnia diakona, Karla Leisner. Drugi list był do bratczyka jezuickiego Zawackiego w Muenchen z prośbą by zaniósł pierwszy list osobiście na wskazany adres. Obydwa listy wzięłam do Freising. W następną środę przyjechał do klasztoru naszego brat Zawacki. W czwartek pojechaliśmy razem do Muenchen i przedstawiliśmy księdzu kardynałowi prośbę księży obozowych. Kardynał Faulhaber bardzo chętnie wyraził swą zgodę. Jednocześnie otrzymaliśmy oleje święte i inne potrzebne przy święceniach przybory liturgiczne. W następny poniedziałek zawiozłam wszystkie aparaty liturgiczne do Dachau. Na skutek szybkiego i pomyślnego załatwienia sprawy wśród księży—więźniów zapanowała wielka radość. Jeszcze w grudniu tegoż roku (1944) więzień Dachau, biskup francuski,

Gabriel Piquet udzielił w obozie święceń kapłańskich diakonowi Leisner, który też wkrótce odprawił tamże swą Mszę Świętą prymicyjną. W styczniu zwrócono mi połycone paramenty. Otrzymałam ponad to świadectwo święceń księdza Leisner. Odwiozłam wszystko spowrotem do księdza —kardynała.⁶

W okresie Świąt Bożego Narodzenia coraz więcej gromadziło się paczek dla więźniów. Nie mogąc sama podolać pracy, zmuszona byłam dobrać sobie towarzyszkę. Była nią sympatyczna kandydatka naszego Zgromadzenia, Maria. Nie trzeba chyba specjalnie dodawać, że obydwie miałyśmy ręce pełne pracy. W styczniu 1945, po przyjeździe do Schleissheim, musiałyśmy często paczki wieźć dalej na sankach, gdyż wielkie śniegi uniemożliwiały posługiwanie się rowerem. Cokolwiek siostra Przełożona mogła znaleźć i zdobyć w składach aptecznych, szło dla więźniów. Przyjmowali wszystko z głęboką wdzięcznością. Cóż to jednak znaczyło na tyłu? . . . Wypadki śmierci w obozie mnożyły się z dnia na dzień. Jeden z księży prosił mnie o oleje święte, gdyż w Dachau księża potajemnie udzielali konającym ostatnich sakramentów.

Pewnego deszczowego dnia w lutym 1945 jechałam obładowana do Dachau. Jedną paczkę, której nie mogłam już zmieścić na rowerze, trzymałam ręką przy sobie. Nieustający ani na chwilę deszcz poczęł powoli rozpuszczać papierowy sznur i tekturę. Byłam już prawie u celu podróży, gdy nagle sznur się rozerwał, tektura pękła i cała zawartość paczki spadła na ziemię. Chciałam się schylić i pozbierać rozsypane prowianty; nie udało mi się to jednak, gdyż rower był przeładowany a na otwartej drodze nie było nic, o co bym mogła go oprzeć. Bezradnie obejrzałam się naokoło. Droga była pusta, spostrzegłam jedynie po chwili nadjeżdżającego oficera —esesmana. Nie mia-

łam odwagi zwrócić się do niego, on jednak sam, widząc moją nieszczęsną sytuację, ofiarował uprzejmie swą pomoc w zbieraniu rozsypanych wiktualów. Była to mała przysługa, lecz niech Bóg mu ją wynagrodzi, bo aczkolwiek nieświadomie, przysłużył się w tym dniu biednym więźniom.



Przygoda z Rowerem

W kilka tygodni później na tej samej drodze spotkało mnie inne nieszczęście. Jechałam szybko, pragnąc dostać się do Dachau i załatwić wszystkie sprawy przed tak częstymi w ostatnich miesiącach i tygodniach alarmami lotniczymi. Nie uważając na drogę, wjechałam przednim kołem na ostry kamień. Opona na kole pękła. Musiałam zejść z roweru i pchać go aż na plantacje. Cały czas dręczyła mnie myśl, w jaki sposób naprawić nieszczęsną oponę. Opowiedziałam o swym wypadku księdzu S. Świadkiem naszej rozmowy był pewien stojący w pobliżu polski chłopiec (więzień) imieniem Max. W pewnej chwili usłyszałam nagle jego głos: "Fraulein, proszę się nie martwić. Ja zreperuję pani rower. Dobry chłopiec z radością wyswiadczył mi tę usługę. Max miał 15 lat, gdy, bez żadnej winy ze swej strony, został wtrącony do obozu koncentracyjnego, w którym musiał teraz spędzać swe młode lata. Doznałam od niego wiele pomocy. W umowionych dniach, w których przyjeżdżałam do obozu, Max pełnił funkcję obserwatora wartowników esesmańskich. Gdy z więźniami omawiałam ich prywatne sprawy, potrzeby i prośby, Max otwierał moje torebki, wyjmował ich zawartość i napelniał je kwiatami i nasionami, by torby nie traciły poprzedniego wyglądu. Gdy groziło niebezpieczeństwo, dawał umówiony znak, a wtedy kierowałam rozmowę na kwiaty, nasiona i flance. Za każdym razem sprawdzał mój rower. I wreszcie na końcu sam pakował kwiaty, by oszczędzić mi czasu. Cieszył się jak dziecko, gdy kiedykolwiek otrzymał ode mnie jakąś drobnostkę. Po uwolnieniu obozu już o nim nie słyszałam. Niech mu Bóg wynagrodzi za wszystkie dobre uczynki!

Gdy w lutym i w marcu 1945 pogoda się ustaliła, rozpoczęły się stałe, codzienne alarmy lotnicze. Często byłam nimi zaskoczona w czasie pobytu na plantacjach. Musiałam udawać się razem z rodzinami esesmanów do schronów przeciwlotniczych. Czułam się spoczątku bardzo nieswojo. Zdawało mi się, iż każdy z obecnych patrzy na mnie ze zdziwieniem, zastanawia-

jąc się w myśli, co mnie tutaj sprowadza. Znalazłam jednak nieoczekiwaną pomoc w dzieciach esesmańskich. Po krótkim już czasie gwarzyłam i bawiłam się z nimi, jak gdybyśmy były długoletnimi znajomymi i przyjaciółmi. Przez dzieci zaprzyjaźniłam się z rodzicami i wszelkie napięcie znikło.



Maedi i Esesman

Pewnego dnia alarm lotniczy zastał mnie jeszcze przed Dachau. Zajeżdżałam do rodziny Steinbuechler i tu zatrzymałam się przez cały czas trwania alarmu. Odwołanie alarmu nastąpiło dopiero o 2:30 po południu. Wyjechałam natychmiast na plantacje. Przy bramie, gdzie stał pierwszy wartownik, zauważyłam, że właśnie w tej chwili więźniowie wyruszali do pracy. Nie mogłam jechać i zmuszona zostałam czekać aż więźniowie odmaszerują do swych zajęć. Stojący w pobliżu wartownik esesmański rozpoczął ze mną niewinna, obojętną konwersację, która trwała przez kilka minut. W międzyczasie jeden z dobrze znanych mi więźniów, ujrzawszy mnie stojącą przy wartowniku sądził, iż zostałam zatrzymana w celu kontroli paczek. Pobiegił więc natychmiast ze straszną nowiną do księdza S., że Maedi została zatrzymana przez esesmana, że prawdopodobnie cała sprawa wyszła na jaw i wszystko stracone . . . Ksiądz S. i wszyscy znajomi przerazili się bardzo. Usunęli natychmiast wszystkie podejrzane materiały i czekali w napięciu na dalszy, tragiczny rozwój wypadków. Po 10 minutach przyjechałam spokojnie i weszłam, jak zwykle, do biura. Ksiądz S. spojrzał na mnie z przerażeniem i zdumieniem pytając: "Maedi, co się stało? Jak udało się Pani wydostać z rąk esesmańskich?" . . . Rozumieliśmy się, nie wiedząc naturalnie, o co się rozchodzi. Nieporozumienie wyjaśniło się prędko ku ogólnej radości.

W połowie marca 1945 otrzymałam jeszcze 50 pięknych białych i czerwonych prymulek — ostatnie z Dachau. Ozdobiły one później grób Chrystusa w naszym klasztorze.

Przy końcu marca, gdy wojska amerykańskie weszły już do północno-zachodniej Bawarii, a myśmy przeżywali prawie nieustanne alarmy lotnicze, wielu księży zostało z obozu zwol-

nionych.⁷ Odetchnęliśmy radośnie, wszyscy liczyli już na bliską wolność. Na zaproszenie siostry Przełożonej kilku ze zwolnionych księży zatrzymało się u nas we Freising. Niestety, zwolnienia wkrótce ustały. Przy końcu marca wśród więźniów panowały różnorodne nastroje, jedne pełne nadziei, inne pesymistyczne, przygnębiające. "Czy przeżyjemy koniec?" — to pełne trwogi i niepewności pytanie wisiało na ustach wszystkich więźniów.

.

18 kwietnia straszliwy nalot lotniczy pociągnął za sobą około 500 ofiar. W dniu tym wyjechałam znowu do Dachau i wróciłam szczęśliwie.

23 kwietnia musiałam, jak i w ostatnich ubiegłych tygodniach, całą drogę odbyć rowerem, gdyż pociągi już nie kursowały. Na pocztę przy dworcu w Dachau i na urządzie pocztowym w obozie nadałam ostatnie paczki dla więźniów. Wszystkie doszły szczęśliwie do rąk adresatów.

Obóz był w stanie wielkiego podniecenia. Spotkałam wszystkich znajomych więźniów i nie przyszło mi nawet przez myśl, że znajduję się w Dachau po raz ostatni.

.

28 kwietnia, w przeddzień uwolnienia obozu, miałam możliwość jechać raz jeszcze do Dachau. Znajomy jezuita, ksiądz Berchtel, pragnął dostarczyć do obozu pewną ilość paczek, jechać zaś samemu było już zbyt niebezpiecznie. Po przyjeździe do Dachau odwiedziliśmy najpierw rodzinę Steinbuechler w celu zorientowania się jak się przedstawia sytuacja w obozie.

Dowiedzieliśmy się, że już od czwartku (26 kwietnia) więźniowie nie pracowali na plantacjach a poza tym z obozu wyszerowali w kierunku Alp więźniowie narodowości niemieckiej. Chcieliśmy przekonać się o sytuacji na własne oczy. Na całej

drodze do plantacji po przecz Eickeplatz, gdzie zwykle panował wielki ruch i ożywienie, nie było żywej duszy. Na plantacjach powitała nas śmiertelna cisza. Jedynie w Pfeffermuehle (jeden z budynków na plantacjach) znaleźliśmy kilku więźniów. Od nich dowiedzieliśmy się, iż 16 więźniów, wśród nich ksiądz S. otrzymało pozwolenie pozostania na plantacjach. Wszyscy oczekiwali z niecierpliwością końca. Zostawiliśmy więźniom paczki, których nie mogliśmy już doręczyć do obozu. Na pożegnanie życzyliśmy sobie wzajemnie szczęśliwego zakończenia wypadków. Gdyśmy we dwoje opuszczali plantacje, miasto Dachau rozbrzmiewało alarmem, zwiastującym nadciąganie bliskiego już wroga.⁸ Do domu dojechalismy jednak szczęśliwie.

W niedzielę, 29 kwietnia po południu, Freising był ostrzeliwany a pod wieczór dostał się w ręce amerykańskie. W tym samym dniu zdobyty został też i obóz w Dachau. Dopiero po kilku tygodniach dowiedzieliśmy się, że więźniowie przetrwali szczęśliwie ostatnie dramatyczne chwile.

.

Na zakończenie pragnę z głęboką wdzięcznością złożyć hołd Matce Najświętszej za troskliwą opiekę, jaką mnie otaczała we wszystkich owych podróżach. Gdy jechałam z Freising na stację kolejową, odwiedzałam zawsze po drodze statuu Marii w t. zw. "Muenchner Kapelle" w naszym mieście. Za każdym razem błagałam ją o macierzyńskie błogosławieństwo i opiekę. Po powrocie zaś Ona była pierwsza, Której opowiadałam o niedoli i nędzy więźniów. Zatrzymywanie się w kaplicy było połączone dla mnie, muszę przyznać, z pewnymi trudnościami, gdyż rower mój był zawsze przeładowany, a poza tym nie miałam przecież wiele czasu do stracenia. A jednak jakaś dziwna siła pociągała mnie do kaplicy za każdym razem, tak jak gdyby Maria chciała mi po prostu narzucać Swe błogosławieństwo. Pewnego dnia przejechałam już spory kawałek drogi, gdyż śpieszyłam się, by zdążyć na czas przed odejściem pociągu. Lecz jakaś wewnętrzna siła zmusiła mnie do zawrócenia. Zrozumia-

łam, że wtedy tylko, gdy byłam pewna, że Ona mi towarzyszy, mogłam spokojnie i z radością ważyć się na niebezpieczne wyjazdy . . .



Statua M. Boskiej w Muenchner Kapelle

To są pokrótce moje przeżycia z kontaktów z więźniami Dachau. Źródłem najgłębszej radości na całe życie będzie dla mnie to, iż ja, biedna dziewczyna, zostałam wybrana przez Boga, by służyć Mu w tych najbiedniejszych ze wszystkich biednych na świecie. Niech Bóg łaskawie przyjmie wszystkie wysiłki i ofiary poczynione dla więźniów i obróci je na błogosławieństwo."

PRZYPISY

1. "Maedi," równoważnik polski można oddać terminem: "Dziewczę, Dziewczątka."
2. "Das tapfere Maedi", ("dzielna Maedi") nazywa ją w swym obszernym dziele "Christus in Dachau, "Wien 1957, str., 349, były więzień Dachau, austriacki ksiądz, Johann M. Lenz.
3. Plantacje w Dachau (urzędowa nazwa: "Deutsche Versuchsanstalt fuer Ernährung und Verpflegung") pozostające pod zarządem esesmanów, obejmowały obszar około 180 hektarów. Były one głównym terenem pracy księży — więźniów, przede wszystkim polskich. Uprawiano na ich rośliny lecznicze, hodowano jarzyny i kwiaty, przeprowadzano doświadczenia ogrodnicze.
4. Oprócz więźniów na plantacjach w Dachau pracowali również Niemcy, ludzie cywilni. Działo się to zwłaszcza w ostatnich latach, gdy cała ludność niemiecka, na rozkaz czynników partyjnych, została zmobilizowana do pracy nad zapewnieniem "ostatecznego zwycięstwa."
5. Imię i nazwisko znane tłumaczowi. Zob. także: Lenz, J., Christus in Dachau, str. 264, 349.
6. Zob. Pies, O. S. J., "The Victory of Father Karl," New York 1957, str. 145—78.
7. Byli to wyłącznie księża narodowości niemieckiej.
8. W dniu 28 kwietnia 1945 czołówki amerykańskie dotarły do miasta Dachau, po krótkiej jednak akcji rozpoznawczej cofnęły się.

KRÓTKI SZKIC BIOGRAFICZNY SIOSTRY MARII MACK



Siostra Maria Mack, 1962

"Dozwól, Panie, byśmy brali przykład z tych, którzy usiłowali pomagać prześladowanym stawiać opór prześladowcom . . ."

(Z listu episkopatu niemieckiego (1961), nawołującego wiernych do ekspiacji za zbrodnie, dokonane podczas drugiej wojny światowej).

Maedi— Józefa Mack urodziła się 10 lutego 1924 w małej miejscowości Mockenlohe, koło miast Eichstaett w Bawarii.

Mockenlohe jest wioską, liczącą około 400 mieszkańców, ludność jej to prawie wyłącznie rolnicy.

Matka Maedi zmarła przed dwoma laty; ojciec w dniu 28 lutego 1962. Z rodziny Maedi żyje jedynie starsza jej siostra, wdowa po poległym żołnierzu niemieckim, z 20 letnim synem. Młodszy o 3 lata brat Maedi zginął w czasie ostatniej wojny w Bawarii, niedaleko miejsca rodzinnego.

Do szkoły podstawowej uczęszczała Maedi w swej rodzinnej miejscowości. Po ukończeniu szkoły rodzice oddali córkę do zakładu dziewcząt w Muenchen, gdzie zamierzała przygotowywać się do swego przyszłego zawodu. Maedi pragnęła zostać zakonnicą i nauczycielką robót ręcznych kobiecych. W kwietniu 1940 wstąpiła Maedi jako kandydatka do Zgromadzenia Sióstr Notre Dame, znanych w Niemczech jako Arme Schwestern.

"Niezapomnianym" — według oświadczenia Siostry Mack — "pozostanie na zawsze w jej pamięci dzień, w którym ojciec przywiózł ją do domu macierzystego Sióstr w Muenchen. Ojciec Maedi był wówczas zatrudniony przy budowie baraków dla pracowników tramwajowych w Muenchen. Ponieważ dzień przyjęcia córki do Zakonu wypadł w sobotę, ojciec nie stawiał się do pracy. Naraziło go to wtedy — pisze siostra Maria Mack — prawie na utratę wolności."

Maedi, zgodnie ze swymi pragnieniami, miała być kształcona na nauczycielkę robót ręcznych. Rząd narodowo-socjalistyczny jednak nie przyznawał zakładom klasztornym praw państwowych i nie dopuszczał uczennic do egzaminów. Na skutek tego, Maedi musiała przerwać naukę. Została wysłana do prowadzonego przez Siostry zakładu dla sierot pod wezwaniem Św. Klary we Freising. Była zatrudniona spoczątku w pracowni krawieckiej Sióstr, a później jako pomocnica w sierocińcu. W maju 1944 rozpoczęła swoje, opisane w niniejszej pracy trudne i niebezpieczne wyprawy do Dachau. Kontynuowała je aż do uwolnienia obozu.

Po załamaniu się Niemiec, Maedi pozostała w klasztorze swego Zgromadzenia. Do nowicjatu została przyjęta dnia 28 sierpnia 1945; 29 sierpnia 1946 złożyła pierwsze śluby zakonne. W dwa lata po nowicjacie ukończyła wrzeczcie swe studia za-

wodowe. Pracowała następnie w prowadzonej przez swe Zgromadzenie szkole średniej oraz w zakładzie dla sierot.

Od roku 1952 Siostra Maria Mack pracuje jako nauczycielka robót ręcznych w szkole zawodowej w Muenchen. "Życie jej" — jak pisze — "jest życiem zwykłej, prostej siostry zakonnej, poświęconym Bogu i młodzieży."

O przeżyciach swoich, związanych z Dachau, Maedi — siostra Maria Mack, poza podanym przez nas opowiadaniem nie pisała i nie ma zamiaru pisać więcej. To co widziała i co przeżyła, zamknęła w głębi swego serca. Przeżycia lat 1944-45 uważa za specjalną łaskę Bożą i jednocześnie wypełnienie swych żywionych od najwcześniejszego dzieciństwa marzeń i pragnień, by móc służyć tym, którzy najbardziej potrzebują pomocy.



S. Maria Mack z uczennicami, 1962

Maedi nie była jedyną, którą dostarczała do Dachau hostie, wino mszalne, przybory liturgiczne i artykuły żywnościowe. Było jeszcze kilka innych osób, wśród nich 10 letnia dziewczynka, Christine Steinbuechler z miasta Dachau. Była to jednak

wypadki rzadkie, sporadyczne, wyjątkowe. Nikt nie dorównał Maedi wytrwałością, regularnością w niesieniu pomocy, nie liczeniem się z niebezpieczeństwami, oraz siłą, odwagą i oddaniem się świętej sprawie.

Po polach plantacji, wśród rzędów gladioli, wyrosłych na krwi i pocie więźniów, chodziła lekko i cicho spokojna, poważna, zamyślona, pełna troski i niepokoju wizja chrześcijańskiej Caritas w postaci młodej, bawarskiej dziewczyny. Słuchała jeńców mordowanych, prześladowanych, konających. Dawała co dać mogła; dawała tym, którzy załamywali się, padali i ginęli i tym, co jeszcze trwali — skarb największy: ciało i żywą, prawdziwą obecność ich Stwórcy, Odkupiciela i Zbawiciela.

Jakże małe i znikome były szanse Maedi! Z jednej strony stał potężny, zorganizowany, brutalny, system, pragnący za wszelką cenę zniszczyć fizycznie i moralnie zmienionych więźniów . . . z drugiej: 20 letnia dziewczyna z czarną, damską torebką, w której znajdowało się 700 małych hostii i butelka mszalnego wina. Kto zwyciężył, kto okazał się silniejszym? — nich na to pytanie odpowiada ci, co przeszli Dachau.

O. Rafał Nienaltowski

Oak Ridge, N. J.

październik, 1962



"Proszę, by Ojciec powiadomił tych, którzy niniejszą książeczkę czytać będą i moje zdjęcie oglądać, że serdecznie ich wszystkich pozdrawiam i za nich modlić się będę."

List Siostry Marii Mack z dnia 3 lipca, 1952